

Kwiaty z Bożego Ogrodu

Bezpłatny dodatek — wychodzi raz w tygodniu

Redaktor: Bonifacy Chmielewski.

Nr. 9.

Chojnice, dnia 21. XI. 30.

Rok I.

Ewangelja

Ewangelja na niedzielę piętnastą po Świątkach
Luk. VII. 11 — 16.

W on czas: Szedł Jezus do miasta, które zowią Naim, a z nim szli uczniowie jego i rzesza wielka. A gdy się przybliżył ku bramie miejskiej, oto wynoszono umarłego syna jedynej matki jego; a ta była wdowa. A rzesza miejska wielka z nią. Którą ujrawszy Pan, ulitował się nad nią i rzekł jej: Nie płacz. I przystąpił i dotknął się mar, (a ci co nieśli, stanęli); i rzekł: Młodzieńcze tobie mówię wstań! I usiadł on, który był umarły i począł mówić. I dał go matce jego. I zdjął wszy stkich strach i wielbili Boga mówiąc: Prorok wiel ki powstał między nami, a Bóg nawiedził lud swój.

Nauka

Żywot na tym padole płaczu wszędzie ze smut kiem i płaczem jest zmieszany. „Krótko żyjemy — mówi Job św. — a wszelakiej nędzy jesteśmy peł ni“. Bądź nad własnymi, bądź też nad innych lu dzi dolegliwościami zawsze ubolewać musimy. A nikt nas pocieszyć nie może, tylko ten, który wdo wie żalobą dotkniętej mówi: „Nie płacz!“

Nie gani Pan Jezus ani nie zakazuje płakania nad umarłym. Płakanie bowiem nad umarłym jest świadectwem cnót jego iż się wobec ludzi do brze zachował. Jest ulżeniem niejakiem dla smut ku, gdy serce żalnością zajęte przez oczy niejako oddycha i łzami się chłodzi.

Niemierne płakanie albo płakanie bez nadziei nieśmiertelności i zmartwychwstania i dostąpie nia łaski Bożej po śmierci gani Apostół i takiego smutku zakazuje, — ale chrześcijańskiego smutku umiarkowanego, który miłość ku odchodzące mu i same uczucie ludzkie wyciska, nikt nie gani i nie ganił w Kościele naszym.

Jeżeli wdowie tej mówi Pan: „Nie płacz!“ — nie gani jej słusznego płaczu ale ją pociesza, a to nietylko słowy ile czynem, gdyż syna jej ożywia i wraca.

I my tak smutnych i płaczących pocieszajmy, nie tyle słowy, ale pomocą, jaką możemy. „Płaka niem z nimi mówi Apostół cieszymy je“. Wielka bowiem smutnemu pociecha, gdy kto z nim współ nie się smuci i z nim płacze, — jak z drugiej stro ny wielki jest żal jego, gdy się kto z smutku jego i nieszczęścia jakie go spotkało, śmieje i raduje.

Uprzypomnijmy sobie też śmierć swoją, gdy na innych umierających patrzymy, którzy mówią niejako do nas: „Pamiętajcie na sąd mój bo też i wasz taki będzie“. Mnie dziś, a wam jutro.

Jeżeli jeden dłużej żyje niżli drugi, niewiele ma pociechy, jeżeli nie żyje Bogu i pokucie, nad tego który prędzej od niego kresu dobiega.

Trzeba nam zawczasu o rozdzieleniu duszy od ciała myśleć, aby nam tego śmierć nie wydarła i

od tego nas nie oddzieliła, co nam daje żywot lep szy po śmierci. Niech nas oddziela od majątności która zostać tu musi, od przyjaciół miłych, któ rzy za nami nie pójdą od ciała, z którym tak moc ne jesteśmy związani które zgnieć i w proch się obrócić musi, ale niechaj nas nie dzieli od Pana Boga i łaski Jego.

O Panie Jezu Chryste, modli się Skarga, Tyś dla tego na świat przyszedł abyś nas od śmierci wybawił. Jakoś temu umarłemu stanąć rozkazał tak rozkaż stanąć mym grzechom i złym skłonnoś ciom moim, które mnie do śmierci prowadzą. Dot knij się ręką Swoją, tych mar, tych złych nało gów moich aby ustały wreszcie; pomóż mi do pow stania, zawołaj na mnie: „Młodzieńcze wstań!“ Niech stara w złościach odmłodnieje dusza moja niech ożyje na głos Twój! Boś ty rzekł: „Teraz jest godzina, aby umarli słuchali głosu Syna Bo żego; a którzy usłyszą ożyją“.

Słyszę, mój Panie, iż dawno na mnie przez proroki i sługi i kaznodzieje i własne sumienie moje wołasz: Wstań z tej złości, rusz się z tego błota, wychodź z tej ciemnicy; więc wstań, co le żysz wstań umarły, a Chrystus cię oświeci.

A ja jakobym nie słyszał w grobie się tym smrodliwym, w tej ciemnej mogile złych żądź i rozkoszy moich i w tej śmierci duszy mojej ko cham.

Już, już za pomocą Twoją na głos Twój po wstaje; podajże mi rękę Twoją umocnijże siły mo je, ażebym już żył Tobie i sprawiedliwości Twojej a wiecznie nie umierał i od Ciebie się, Pana i Bo ga mego, od Duszy duszy mojej nie dzielił. Amen.

Dzwonnica

Znałem ich dwoje. Byli przyjaciele:
Kościółek wiejski — drewniana dzwonnica —
A kościół mszyste porosło już ziele,
Staruszka zasie zorane ma lica —
I kiedy siedzą przy słońca zachodzie,
Gdy blasków na nich ściele się korona —
On wzrok swój tęskny poniesie po wodzie,
A przy nim wierna gwarzy małżonka.

Żywot ich prosty wciąż był i szczęśliwy —
I byli razem jak gołębi parka
Żadne ich życia nie olśniły dziwy
Żadna ich losu nie strwożyła miarka.
Oboje wiernie zaufali Bogu,
Żadne im groźne nie były dopusty,
Lud korny wiedli do wieczności progu,
Wciąż cel wskazując wymownemi usty.

Wiek już przeżyli — wiek zmienny i długi
I myślą swoją ciągle byli w niebie —
Niejedne życia widzieli już smugi,
I na niejednym już byli pogrzebie —
Lecz smutek żaden lica ich nie trawi,
Bo gdy grzesznikiem rozpacz wstrząśnie głucha

W niebo kołaczą — a Bóg już laskawiej
Sklania swą głowę, z miłosierdziem słucha...

Tylko niekiedy wzrok im się rozżarzy —
Wzrok ten podobny jest do błyskawicy,
I już nie pomniesz, czy to gniew z ich twarzy,
Czy błąd promyk śmiertelnej gromicy —
A moc tak wielka, co z ich oczu bucha,
Że się nie zbliżą do nich ludzie - karły...
Jeżeli nie chcą, by ich do łańcucha
Przekleństwa — ludzie i Bóg w niebie zwały..

Chwilka. Znow/ uśmiech lica im spromieni —
I w niebo patrzą łagodni i cisi,
Co wieczór blaskiem słońca ozłoceni...
On wtenczas wygląd ma postaci mnisiej,
Co w dłoni suwa paciorki różańca...
Ona swym głosem, co tętni i żyje —
Przy jasnym blasku księżycy kagańca
Głosi i sławi i wielbi Marię...

Zygmunt Hoffman.

Matka Boska Bolesna

(15 września.)

Najświętsza Marja Panna, która z woli Bożej miała pośredniczyć w dziele odkupienia, musiała to swoje pośrednictwo okupić cierpieniami i boleściami, uczestnicząc w męce i śmierci krzyżowej Zbawiciela. Nazywamy ją Matką Bolesną i słusznie przypisujemy jej ten przydomek. Bo bolała i cierpiała dla nas, bo cierpienia i boleści Panna Jezusa któremi odkupieni jesteśmy, stały się jej cierpieniami.

Aby choć w części wyobrazić sobie, ile Marja przecierpiała, — wyobraźmy sobie Matkę najczulszą, którą do życia niewiáže nic innego, tylko jej dziecię — jej syna jedynego. Tego syna najmilszego widzi umierającego w kwiecie wieku nie śmiercią naturalną ale z ręki kata, wśród szyderstw całego narodu — widzi go przybitego na krzyżu, ciało poszarpane, głowa okolona straszny m cierpieniem, — widzi go w trzech godzinnych zmaganiach z śmiercią a sama nie może mu przynieść choćby najmniejszej ulgi. Czyż była kiedy matka któraaby takie ponosiła męczarnie duchowe?

Wszelkie jednak pojęcie nasze przechodzi to, gdy widzimy, że te katusze przechodziła Marja przez lat trzydzieści trzy, to jest od chwili gdy ją prociroctwo Symeona pouczyło o tym mieczu boleści, który miał przeniknąć Jej duszę. Słusznie więc pozdrawia Kościół Marię słowy, Królowo Męczenników i stosuje do Niej słowa psalmisty „Defuit in dolore vita mea et anni mei in gemitibus“ — ustał w boleści żywot mój i lata moje w zdychaniu (Ps. 30 11).

Kościół św poświęcił dwa dni w roku na uczczenie Matki Boskiej Bolesnej i to piątek przed palmową niedzielą i dzień 15 września.

Cześć Matki Boskiej Bolesnej albo siedmiu Boleści M B ma początek wprost z nieba podobnie jak cześć M B Różańcowej lub Szkaplerznej w połowie 13 wieku nieporozumienia politycz. rozdzierały Europę a zwłaszcza Włochy. We Florencji, gdzie kłótnie polityczne osłabiły religję i pobożność, 7 obywateli szlachetnego rodu miało cu downe widzenie, w którym M Boża wezwała ich do życia doskonalszego. Nawzajem sobie to opowiedziawszy. poznali, że Bóg powołał ich do większej czci Marii. Opuścili masto i udali się 8 września 1233 roku w góry niedaleko Florencji, by tam na pokucie i rozpamiętywaniu boleści Matki Bo-

skiej służyć Bogu. Cnotliwe ich życie sprawiło, że coraz więcej zbierało się naokoło nich osób, by wspólnie z nimi weść życie. Były to skromne zaczątki zakonu, znanego dziś pod nazwą Serwitów czyli sług N M P Zakon ten, jak tyle innych opiera się na regule św Augustyna.

Cud św Januarego.

Są ludzi, którzy twierdzą, że cudów niema. Ale rzeczywistość, jaką widzimy w swem otoczeniu o jakiej słyszemy z dalszych stron, przeczy ich mądrym gadaniom. O Lourdes wiemy wszyscy, mniej pewnie o cudzie neapolitańskim na południu Włoch, który rok rocznie się powtarza i świadczy wszystkim o wszechmocy Bożej.

Zanim przystąpimy do opisu cudu zobaczymy jaki związek ma on ze św Januarem. Św. January urodził się około roku 270. W 24 roku życia otrzymał święcenia kapłańskie, a niedługo potem obrany został biskupem Beneventu. W roku 303 wybuchło po Dioklejanie prześladowanie chrześcijan, w którym poniósł między innymi i

January śmierć męczeńską. Jedną z matron chrześcijańskich Euzebja, zebrała krew świętego w dwie buteleczki (ampułki) i przechowała je w swym domu. Kiedy w 10 lat później, gdy nastąpiła dla Kościoła wolność, chciano pochować razem ciało męczennika i owe dwie ampułki, wtedy po raz pierwszy zawrzała skrzepła dotąd krew w ampułkach. Po różnych wędrówkach dostały się skarby te do katedry, neapolitańskiej, gdzie dotąd przechowuje się je w osobnej kaplicy.

Uroczystość św Januarego święci Neapol trzy razy w roku. Pierwszy raz przez 9 pierwszych dni maja, drugi raz od 19 — 26 września i wreszcie 16 grudnia. Corocznie więc 18 razy dzieje się dziwne zjawisko, dzieje się cud.

Sam przebieg cudu jest następujący. Kapelan wyjmuje ze skarbca relikwiarz w kształcie monstrancji. Między szkłem płaskim i okrągłym, wypełniającem obie środkowe strony pudełka, umieszczone są dwie buteleczki ze skrzepłą krwią św. Obie przymocowane są tak, że nietylko poruszać się nie mogą, ale są nadto szczelnie zamknięte i wszelka możliwość podstępu jest zgóry wykluczona. Relikwiarz podnosi ksiądz, pokazuje obecnym a następnie przewraca go. W ten sposób każdy może się przekonać, że zawartość buteleczek jest twarda i nieruchoma. Fakt ten stwierdza słowami „e duro“ (jest twarda) poczem w towarzystwie kleryka idzie do ołtarza głównego, gdzie relikwiarz ustawia. Lud zaczyna się modlić. — Od czasu do czasu zbliża się do ołtarza kapłan bierze relikwiarz, przewracając go i za każdym razem stwierdza, że krew jest jeszcze skrzepła — a lud się modli dalej — Wreszcie po dłuższym lub krótszym czasie, różnie każdego roku, stwardniała skorupa poczyną odrywać się od ścian buteleczek. Przez jakiś czas środek krwistej masy pozostaje twardy, lecz wkrótce i on się rozpłaszcza, krew zaczyna wrzeć, kłębić się i zmienia barwę ciemną na jaśniejszą.

Wtedy dają się słyszeć głosy „Cud, cud“ — i lud ciśnie się do całowania relikwiarza. Wśród śpiewu „Te Deum“ odnosi się relikwiarz po procesji na ołtarz główny, gdzie ustawiają go naprzeciwko popiersia Świętego.

Krew pozostaje w stanie płynnym aż do wieczora. Wtedy odnosi się go uroczystie do kapliczki i składa jak najstaranniej do żelaznej skrzyni zamkniętej na 4 ramki od których 2 klucze są w posiadaniu arcybiskupa, dwa inne zaś przechowuje „Komitet świętego skarbu“. Wszystkie cztery Kiedy następnego dnia otwierają znowu skrytkę

ry klucze potrzebne. by móc otworzyć skrzynię. krew jest już stwardniała. W ciągu nabożeństwa i modłów staje się znowu płynna.

Cud św Januarego, ciągle się powtarzający. niemałą konsternację wywołuje u niewierzących Szeregi uczonych starało się wy tłumaczyć w sposób naturalny dziwne to zjawisko. Wszelkie ich starania tak minione jak i obecne kończą niczem Cud pozostaje cudem, a świadkowie jego, często kroć niewierzący i z góry uprzedzeni co do cudowności tego zdarzenia. odchodzą zdumieni i wzruszeni a nierządki także nawróceni.

Stygmaty św. Franciszka

Pod koniec sierpnia 1224 roku zdążył św Franciszek na samotną górę Alverno. nadającą się dla tych co chcieliby czynić pokutę zdala od zgiełku życiowego.

Towarzyszili świętemu bracia: Maciej, Rutow Anioł i Leon. I mówił im św Franciszek, że o to wybrał się z nimi na świętą górę Alverno by tu w ciszy przygotować się na śmierć.

Tu na łonie natury górskiej pięknej swą grozą, postanowił św Franciszek odbyć post czterdzieści dniowy na cześć św Michała. Chcąc modlić się w największym napięciu ducha. zakazał braci kom zbliżać się do niego bez wyraźnego rozkazu

Pragnął w te dni tak cierpieć, jak cierpiał zbawca, więc zatapiał się w rozważaniu Męki Pańskiej i przeżywał wszystkie cierpienia, aż ciało męlało pod brzmieniem bólu. Tak spędzał dni i noce. już nie ciałem. lecz tylko duchem żyw, aż nadeszło święto Podwyższenia Krzyża. W wigilję tego święta podwoił św Franciszek modlitwy i błagał Boga:

— „Panie mój, błagam Cię jeszcze o dwie łaski wielkie przed śmiercią: naprzód bym mógł od czuć tak w duszy jak w ciele w całej swej okropności rany Twe i mękę, którą dla nas poniosłeś. a potem, by serce moje rozgorzało taką miłością, jaką była Twoja wtedy, gdy oddałeś się na ofiarę za grzechy całego świata“.

I nagle ujrzał św Franciszek w zachwyceniu serafina o sześciu lśniących skrzydłach, zstępującego ku niemu. Dwa skrzydła rozpościerały się nad głową, dwa otwierały do lotu, a dwa okrywały całe ciało. Oblicze zaś zjawiska przybrało rysy Zbawiciela św Franciszka na widok ten zdjęły radość i ból zarazem. Zjawisko trwało czas jakiś, a potem rozwiało się w powietrzu. Lecz w sercu Świętego pozostał żar miłości Bożej a na ciele cudowne ślady Męki Pańskiej. Na rękach i nogach ukazały się znaki gwoździ. a w boku pojawił się znak rany, broczącej krwią.

Nie chciał Święty wyjawić przed uczniami swymi mi cudu i starał się zakryć stygmaty. Rany jednakże sprawiały mu ból dotkliwy krew sączyła się z boku przebitego. Gdy już dalej nie mógł ukryć znaków cudu przed otoczeniem, wyznał cud stygmatów. ale słów, usłyszanych podczas widzenia, nie wyjawiał.

Po ukończeniu postu św Franciszek postanowił wrócić do klasztoru. Na górze Alverno pozostawił braci z wyjątkiem Leona. który niósł mu pomoc w zejściu z góry, czego sam wskutek niezmiernych bólów w nogach nie mógł uczynić. Reszta braci miała tu zamieszkać.

Dziś na górze Alverno stoi klasztor i kościół, w którym rozbrzmiewa, z ust synów św Franciszka Chwała Boża. A rocznicę otrzymania znaków zbawicielskich, czyli t. zw. stygmatów (od greckiego — stigma — znak, blizna) obchodzi Kościół osobnym nabożeństwem w dniu 17 września.

Nie płacz!

„Nie płacz!“ mówi ci Zbawiciel,
On; gdy zechce, cię pocieszy;
On najlepszy Pocieszyciel.
Nawet jeśli człowiek grzeszy,
Byle powstać miał ochotę,
On nauczy pełnić cnotę.
Nie płacz, gdyś jest opuszczony,
Choć w cierpieniu pograżony,
Fale życia On wygładzi,
On lzy otrze, On poradzi.

Bonifacy Chmielowski.

Fasola Najświętszego Sakramentu

Legenda ludu francuskiego.

Na polach i w ogrodach Francji bujnie pleni się pewna odmiana fasoli. nieznaną u nas w Polsce. Odnacza się pięknem a niezwykłym kwieciem. Na śnieżno - białych płatkach widnieje wyraźny. w delikatnym liljowym kolorze, wizerunek monstrencji z małą okrągłą hostją pośrodku, okoloną promieniami. Fasolę tę nazywa lud francuski fasolą Przenajświętszego Sakramentu i snuje o niej piękną legendę.

Pewnego wiosennego poranka, tak opromienionego blaskami słońca i przepojonego zapachem ziół i kwiatów. że zdawało się, iż kawałek nieba rzucili aniołowie na biedną ziemię, żeby ją upiększyć i rozweselić, szedł drogą wiejską proboszcz starowina. Niósł Przenajświętszy Sakrament umierającej, jako ostatnie posilenie naaziemską wędrowkę. Poprzedzał go chłopczyk ze światłem i dzwonkiem w ręku.

Mimo, że rzerzące się niedowiarstwo zdążyło już zapuścić korzenie nawet w serca ludu francuskiego, na srebrny głos dzwonka tu i ówdzie wyjrzał ktoś oknem z chaty. a potem wychodził, klękał pokornie i szedł śladem stóp kapłana. I tak zebrała się mała gromadka ludzi, towarzysząca Panu.

Kapłan miał dosyć daleką drogę przed sobą, bo ciężko chora i już w agonji leżąca matka Zuzanna (tak lud wioskowy nazywał staruszkę) bardzo była uboka i mieszkała hen za wsią. w małej chatce wyznaczonej jej z litości przez gminę. A słaba już była bardzo i niespokojnie wyczekiwała ostatniego posilenia. To też ksiądz śpieszył żeby zdążyć z wiatykiem.

Przeszedł szybkim krokiem znaczny szmat drogi, przystanął niezdecydowany. Rozpościerały się tu przed nim rozległe łąny. porośłe żytem, należące do bogatego gospodarza.

— Ach, gdybym przeszedł przez pole. jakże znacznie skróciłbym sobie drogę — pomyślał ks. — Matka Zuzanna słaba. jakże niecierpliwie oczekuje przybycia Pana. Cóż złego się stanie, jeśli kill: a kłosów pogniotę stopą? Bóg to w inny sposób właścicielowi nagrodzi.

A łan kwitnącego zboża pysznił się bujnym kłosem. Złotymi promieniami pieściło go słońce Przelatujące ptaszyny nuciły mu radosną pieśń życia i cudnymi barwami grały kwitnące wśród kłosów maki, chabry i kaskole.

— Pan sam usłał sobie drogę kwieciem — pomyślał proboszcz staruszek i śmiało już skierował kroki na łan żytni. Jego śladem. ostrożnie stąpając podążała gromadka pobożnych.

Lecz zaledwie uszli kilka kroków, stanęli prze straszeni

Bo oto właściciel łąny zabiegł im drogę i wołał zagniewany:

— Co to znaczy? Kto wam pozwolił przechodzić przez moje łąny, deptać zboże i niszczyć plony. Wynoście się zaraz...

Cofnęli się. Ludzie sarkali zcicha na nieużytego bogacza. lecz ksiądz ruchem ręki nakazał milczenie i ruszył dalej drogą.

Wtem idący naprzeciw ubogo odziany wieśniak. oddawszy na klęczkach cześć Bogu w Najśw Sakramencie. rzekł do kapłana: — Księżę proboszczu, proszę przejść przez moją ubogą rolę. Przez to pole, na którym rośnie fasola. Zróbcie mi tę łaskę. proboszczu. Wielki to zaszczyt dla mnie, jeśli Bóg raczy przejść przez moje ubogie zagony.

I wszedł zdrożony kapłan. niosący Przenajświętszy Sakrament, na ziemię ubogiego wieśniaka. Zagony te były całym jego bogactwem i jedynym sposobem do życia. Za nim podążyli pobożni.

A wiotkie lodygi fasoli rozchyłały się wdzięcznie, śliczne. zielone, soczyste liście kładły się kornie na ziemi, ścieląc drogę Panu. Tam, gdzie ludzka przeszła stopa, nie pozostał najmniejszy ślad. Niby woda poruszona wiosłem, falowała zieleń, splatały się w uścisku delikatne lodygi, unosily listki ku górze, drżące lekko. I ani jeden listek nie był zgnieciony, ani jedna złamana lodyga.

I dziwili się ludzie, bo nad polem nieużytego wieśniaka zgromadziły się czarne chmury i wisiały posępne nad kwitnącem żytem. Nad biednymi zaś zagonami ubogiego lecz czynnego człowieka jaśniały dalej światła promieniste i pieściły drżące listeczki fasoli, a ptaszęta z całej okolicy zbiegły się nad zagonami i nuciły im pieśń.

Fasola rosła w oczach. zakwitła cudnym kwiatem z wizerunkiem monstrancji, rozrastała się bujnie i trzykrotnie wydała plony. Żyto zaś nieużytego człowieka, śniecią dotknięte. czerniało i spróchniało wydało kłosa.

Ubogi wieśniak z roku na rok coraz obfitsze z fasoli miał zbiory. Bóg mu widocznie błogosławił. Nie był bogaczem, lecz nie zbrakło mu chleba.

Pleni się obficie na polach Francji fasola Przenajświętszego Sakramentu, jako błogosławieństwo nieba na pamiątkę pięknego czynu tkliwego serca ludzkiego.

Bogumiła Rakowska.

Niedziela w wiejskim kościele

Z powieści „Jesień“.

A dzwony wciąż były radosnym głosem niedzieli. Zaczęło się nabożeństwo. W ołtarzu u góry był Bóg Ojciec, siwy Pan i srogi. a w pośrodku sama Częstochowska w złocistym obleczeniu patrzyła na ludzi, a wszędy lśniła się pozłota, jarzyły się świece i stały bukiety papierowych czerwonych kwiatów — a ze ścian i z okien kolorowych wychylały się złote obręcze i święte surowe twarze, i smugi złota purpury fioletu, niby tęcza padały na twarze ludzi, które całkiem jakby się unurzały w stawie przed zachodem słońca kiedy ono bije w wodę.

Kuba parobek u Boryny, klęczał wpatrzony w czarniawą, słodką twarz Częstochowskiej, ino mówił pacierz za pacierzem a potem śpiewał tak żarliwie, tak ze wszystkich sił duszy wierzącej, tak sercem pełnym ekstazy, że jego zaschły skrzypiący głos rozlegał się najdonioślej.

— Beczycie Kuba kiej ta koza żydowska — szepnął ktoś z boku.

— La Pana Jezusa i la tej Paniienki — mruknął.

Ksiądz wszedł na ambonę i wszyscy zadarli głowy i wpatrywali się w dobrodzieja, którego w białej komży pochylił się nad narodem i czytał ewangelję. A światła i farby były w niego z okien, że widział się wszystkim jak ten anioł płynący na tęczy. Ksiądz mówił długo, mocno, że jaki taki westchnął skruszonym sercem niejednemu lzy polekły, a którego znów zasie spuszczał oczy i każał się sumieniu — i obiecywał poprawę. A Kuba patrzył w dobrodzieja jak w obraz święty, który teraz wyglądał jak archanioł na ognistym wozie brząsków, twarz mu pobladła, oczy ciskały błyskawice gdy zaczął podnosić głos i wspominać narodowi grzechy wszelkie, a skąpstwo, a pijaństwo a rozpustę; a czynienie szkód; nieszanowna nie starszych, bezbożność.

I wołał wielkim głosem o upamiętanie, błagał, zaklinał. prosił — aż Kuba nie wytrzymał i jął się trząść w sobie z winy tych wszystkich grzechów, z żalów, ze skruchy i ryknął głośnym płaczem a za nim naród cały: kobiety, gospodarze nawet, że płacz się uczynił w kościele, chlipanie, wycieranie nosów gdy ksiądz z pokutną modlitwą zwrócił się do ołtarza i padł na kolana.

A potem cichość zapadła, cichość rozmodlenia i serdecznej rozmowy z Panem, bo zaczęła się sułna. I potem głos księdza podnosił się zgnęta od ołtarza i płynął nad pochylonemi głowami strugą brzmień przenikających i świętych. To dzwonki krótką salwą dźwięczały, to dymy kadzideł były pachnącemi słupami i niby obłokiem pokrywały klęczących i rozmodlonych, a Kubę napełniały taką rozkoszą, że wdychał ino, rozkładał ręce. bił się w piersi i zamierał w tej słodkiej niemocy, a szmery modlitw, westchnienia, nagłe wykrzyki i jęki gdzieniegdzie gorące oddechy, światła, dymy głos organów zatapiały go jakby w świętym śnie jakoby w zapamiętaniu.

I kiedy roznosili świece, bo nabożeństwo było z wystawieniem i procesją, Kuba wyciągnął śmiało rękę i chociaż mu się chciało wziąć całą, wzion jednakże najmniejszą, ogarek prawie — zapalił ją wnet, bo już i ksiądz ujął monstrancję obrócił się z nią do ludu, że padli na twarz.

Zaintonował pieśń i schodził wolno po stopniach ołtarza w ulicę zgnęta uczynioną z głów rozśpiewanych, światła płonących barw ostrych i głosów jęklivych.

Procesja ruszyła, organy huknęły potężnie. Dzwonki poczęły rytmicznie dzwonić, lud pochwycił wtór i śpiewał jednym ogromnym głosem wiary.

A przodem ciżby w skrętach rozchwianych światła migotał srebrny krzyż, kołysały się niesione feretrony. całe w tiulach a kwiatach i koronach szychowych. We drzwiach wielkich, któremi przez obłoki dymów kadzielnich buchało słońce, rozwijały się na wietrze pochylone chorągwie i niby ptaki purpurowe i zielone, łopaty skrzydłami. Śpiew ludu jak fala zda się płynął i bił w słońce blade dzwony huczały nieustannie spiżo wemi usty aż trzęsły się lipy i klony i raz wraz jakiś czerwony liść niby ptak spłoszony spadał na głowy.

Reymont.